

Z TEATRÓW
STOLICY

AUGUST GRODZICKI

„Kordian” po raz drugi

Rzadki to wypadek by reżyser — być może pod wpływem krytyki — zdał sobie sprawę z błędów swojej inscenizacji i po niespełna półtora roku zabrał się do nowej wersji tego samego przedstawienia. Tak zrobił Kazimierz Dejmek z „Kordianem”. I to mu się chwali — nie dlatego by przy tej okazji ogłaszać triumf krytyków. „Kordian” powinien być w żelaznym repertuarze Teatru Narodowego. Wobec tego Dejmek chciał dramatowi Słowackiego nadać taki kształt sceniczny by przedstawienie mogło ostać się trwale. Czy mu się to przy powtórcie udało?

Zmiany w nowym „Kordianie” idą bardzo daleko. Przede wszystkim — skróty. Przedstawienie skrócono dosłownie o połowę — z czterech na dwie godziny. Bagatel! Wyleciały prawie pełne dwa akty wraz z prologiem a w trzecim też poczyniono skrócenia. „Kordian” ukazuje się bez kobiet, bez młodzieńczej biografii bohatera romantycznego, ograniczony tylko do polityki do samego spisku koronacyjnego i niedosłego zamachu. Sam dramat zaczyna się od sceny z paieżem i potem biegnie już zgodnie z tekstem. Szkoda, że droga życiowa Kordiana została w ten sposób zubożona. Ale w końcu można się z tym pogodzić.

Najbardziej jednak żał mi prologu, a zwłaszcza jego końcowych strof:

„Dajcie mi proch samknięty
w narodowej urnie,
Z prochu lud wkrzeszę, stawiam
na mogił koturnie
I mam aktorów wyższych o całe
mogiły.
Z przebudzonych rycerzy serwę
całun zguliły,
Wszystkich obwieje nieba
polskiego błękitem,
Wszystkich oświecę duszy
promieniem i światem
Urodzonych nadziei — aż przejdą
przed wami
Pozdrowieni uśmiechem,
pożegnani łzami”.

Żał mi ich nie tylko dlatego, że to bardzo piękne strofy, ale dlatego, że jest w nich program całego „Kordiana” i klucz do jego odczucia. A może Dejmekowi nie o to chodziło, może nie chciał tych przebudzonych rycerzy pozdrowiać uśmiechem

i żegnać łzami. Może starał się podkreślić przede wszystkim pamflet, jakim jest „Kordian”, a zwłaszcza jego „Przygotowanie”. To „Przygotowanie” zostało tu powtórzone — przy niewielkich zmianach — z poprzedniego przedstawienia. Nadal znakomicie prowadzi je Gustaw Holoubek jako Szatan i nadal ma on ostrość satyryczną. Poprzednio scena ta, utrzymana w tonie szopki politycznej, choć sama w sobie udana nie wiązała się z całością przedstawienia. Teraz Dejmek po każdej części przypomina o niej opuszczeniem szopkowej kurtynki z teatru ludowego a parę razy Czarownica (Jan Koecher) z „Przygotowania” zjawia się na scenie, mówi didaskalia autorskie a nawet wypowiada i to w tonie placzliwym końcowy okrzyk Kordiana: „Polacy!” z monologu na Mont Blanc. Ma to być zapewne ironiczny komentarz. Tylko nie bardzo wiadomo do czego, czy do patriotycznego, ale bezsilnego zrywu Kordiana, czy do tych ludzi podłych, którzy się plenią w dramacie.

Nie bardzo wiadomo do czego, bo w przedstawieniu zamazuje się myśl przewodnia i w końcu nie wiemy, o co reżyserowi chodziło. Zawiodło szereg obrazów i aktorstwo: scena w podziemiach straciła wiele z nerwu dramatycznego z poprzedniego przedstawienia, lud pod Kolumną Zygmunta nie miał żadnego wyrazu, scena w szpitalu wariatów zmarnowana. Wizualnie najlepiej wypadł obraz ze Strachem i Imaginacją na tle ruchomych ścian i odbijających się cieni. Aktorsko błyszcząły jedynie sceny z Carem i Wielkim Księciem — Stanisław Zaczek i Ignacy Machowski powtórzyli swe znakomite kreacje z poprzedniego przedstawienia. Oni przede wszystkim skupiali uwagę widza, co niewątpliwie zmieniło proporcje dramatu. W tej wersji powinien on właściwie nosić tytuł nie „Kordian”, ale „Car i Konstanty”.

Bo Kordian w tym przedstawieniu jakby schodził na plan drugi. Młody Wojciech Alaborski na pewno jest utalentowany, ma dużo uroku scenicznego, trzeba go z całą życzliwością powitać na scenie warszawskiej. Ale to dopiero zadatek na Kordiana — dobry zadatek. Jego Kordian jest chłopięcy — taki powinien być. Przypuszczam, że najlepszy byłby w scenach początkowych, które... wyleciały. Aktorsko jednak jeszcze surowy Alaborski nie daje sobie rady z wymogami

rol, nie wytrzymuje jej głosu zwłaszcza w fortach i fortissimach, niepotrzebnie zresztą nadużywanych. W jego zapale i przekonaniu nie bardzo się wierzy, ten Kordian nie wzrusza. Raz jeden tylko przy jego słuchaniu serce żywiej zabije: przy słynnych strofach „Nie będę z nimi”...

Jednakże wszystkie te zastrzeżenia ukazały się w innym świetle, jeżeli uświadomimy sobie, że w Teatrze Narodowym nie ma innego aktora, który by mógł zagrać Kordiana. Ba, nie widać takiego w tej chwili wśród młodych aktorów w całej Warszawie. I to dopiero napawa smutkiem i niepokojem. Bo „Kordiana” jednak trzeba grać.

Juliusz Słowacki — Kordian — Część pierwsza trylogii: Spisek Koronacyjny — Reżyseria: Kazimierz Dejmek — Dekoracje: Kazimierz Dejmek — Kostiumy: Antele Wojciechowska — Ilustracja muzyczna w wyborze i opracowaniu Jerzego Dobrzańskiego i Jana Sobieskiego — Praca nad słowem: Krystyna Mazur. (Teatr Narodowy — Premiera prasowa przedstawienia w nowym opracowaniu 23. II. 1967 r.).